

MARIUSZ URBANEK

Broniewski

MIŁOŚĆ, WÓDKA, POLITYKA



Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki
Korekta: Dobrosława Pańkowska

Na obwolucie wykorzystano zdjęcie Władysława
Broniewskiego na Baraniej Górze z roku 1955
autorstwa H. Hermanowicza

Zamieszczone w książce zdjęcia pochodzą ze zbiorów
Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie.

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, aby skontaktować się
ze wszystkimi autorami zdjęć. Okazało się to jednak
niemożliwe. Dlatego sekretariat wydawnictwa prosi
fotografików, z którymi nie zostały podpisane umowy
o pilny kontakt.

Copyright © by Mariusz Urbanek, Warszawa 2011
Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2011

ISBN 978-83-244-0184-0

Wydawnictwo Iskry
ul. Smolna 11
00-375 Warszawa
tel./faks: (22) 827-94-15
e-mail: iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

MARIUSZ URBANEK

Broniewski

MIŁOŚĆ, WÓDKA, POLITYKA



Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę...

Ta anegdota ma wiele wersji. Ci sami są tylko za każdym razem bohaterowie. Sowiecki namiestnik Bolesław Bierut i poeta Władysław Broniewski. Agent NKWD, osadzony na stanowisku prezydenta w powojennej Polsce, i były legionista Piłsudskiego, autor poematu *Słowo o Stalinie*, którego talent zaprzęgnięto w służbę komunizmu.

Ta sama jest też za każdym razem prośba, z jaką Bierut zwraca się do Broniewskiego.

– Towarzyszu Władysławie, najwyższy czas, żebyście napisali nowy hymn Polski.

To miał być hymn lepiej pasujący do państwa robotników i chłopów niż osiemnastowieczna pieśń odwołująca się do francuskiego cesarza, hetmanów z czasów szlacheckiej Polski i szabel stawianych przeciw obcej przemocy. Teraz przecież przyszłość wykuwało się sierpem i młotem.

– Napiszecie go wy, nasz wielki proletariacki poeta – przekonywał Bierut.

Andrzej Braun wspominał, że było to podczas jednego z przyjęć, na jakie Bierut zapraszał do Belwederu pisarzy. Miał powiedzieć, że ma już dość *Mazurka Dąbrowskiego*. Pora na nowy hymn. Broniewski przychodził na te przyjęcia przeważnie już pijany, ale kiedy podsunięto mu pomysł napisania nowego hymnu, odmówił. Wybuchnął:

– Orła bez korony jeszcze mogę znieść, ale nowego hymnu nigdy.

Trzecia żona Broniewskiego, Wanda, nie słyszała tej rozmowy. Stała kilka kroków dalej. „Widziałam tylko, jak mąż bardzo zmienił się na twarzy. Odmówił” – wspominała.

Marek Hłasko, przez kilka miesięcy sekretarz Władysława Broniewskiego, napisał, że poeta posłał Bieruta do wszystkich diabłów. „Po czym napisał wiersz, że kłania się rewolucji radzieckiej po pol-

sku, czapką do ziemi”. Jak zwykle w anegdotach nie wszystko jest prawdą. Wiersz *Pokłon Rewolucji Październikowej* powstał kilka lat przed rozmową z Bierutem. Według jeszcze innej wersji Broniewski miał wręczyć Bierutowi kartkę z nagryzmołonym nierównym piśmem zdaniem: *Jeszcze Polska nie zginęła...*

Maria Dąbrowska też zapamiętała przyjęcie w Belwederze. Odbyło się z okazji zjazdu Związku Literatów Polskich w czerwcu 1954 roku. Zanotowała je w *Dziennikach* ponad rok później, 23 lipca 1955.

Siedziała przy stole z Bierutem, gdy na salę wszedł pijany Broniewski. Zataczał się dłuższą chwilę, a potem zaczął krzyczeć tak, że musieli usłyszeć go wszyscy.

– Wy chcecie, towarzysz Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię. Ja jeden! Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę!

A po chwili, jeszcze raz, ciszej:

– Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę.

Być może tylko inny poeta mógł zrozumieć ogrom pokusy, przed którą stanął Broniewski. Stanisław Grochowiak napisał, że byłby to przecież laur najwyższy, o jakim poeta mógł marzyć. Argumentów, by przyjąć ofertę, też nie brakowało. Wierzył przecież w siłę swego poetyckiego talentu. Wierzył w socjalizm i nie byli w stanie tego zmienić ludzie, którzy rządzą Polską.

A jednak odmówił, i to stanowczo, jak zapamiętali świadkowie. Potem się upił. I długo nie trzeźwiał.

„Było coś z dostojewszczyzny w grożącym skandalu z powodu pijanstwa Broniewskiego” – notowała w październiku 1954 roku środowiskowe reakcje na incydent w Belwederze towarzysza życia Dąbrowskiej, Anna Kowalska.

I było w tym coś z samobójczej desperacji człowieka, który świadomie wydaje na siebie wyrok.

Nie miał żadnej ambicji ubiegania się o czwórki...

Był przywiązany do swoich szlacheckich korzeni. Mówił o nich przy różnych okazjach, chwalił się przodkami, dochodził pokrewieństwa. Wiktorowi Weintraubowi, historykowi literatury, z wyraźną satysfakcją opowiadał, że doszukał się paranteli z Witoldem Grabkowskim, ministrem sprawiedliwości w rządzie Felicjana Sławoja Składkowskiego. Wypytywał (Weintraub zajmował się literaturą renesansu i baroku) o Marcina Broniewskiego, szesnastowiecznego posła, arianina i publicystę, który spierał się z samym Piotrem Skargą. „Nie ulega wątpliwości, że ów arianin, a więc w owoczesnych kategoriach skrajny lewicowiec i polemista świetnie władający piórem, nadawałby się na jego antenata jak ulał” – wspominał Weintraub.

Pochodził z rodziny urzędniczej. Dziadek ze strony matki, Antoni Lubowidzki, był notariuszem w płockim sądzie, ojciec, także Antoni, pracował w banku. Obaj zmarli szybko. Ojciec w roku 1902, gdy urodzony 17 grudnia 1897 roku Władek („wszyscy się ucieszyli, że nareszcie synek” – wspominał) miał niespełna pięć lat, dziadek w 1907. Matka, Zofia z Lubowidzkich Broniewska, nie wyszła po wtórnie za mąż. Razem z Jadwigą Lubowidzką (z domu Ostrowską), drugą żoną Antoniego, zajęły się wychowywaniem małego Władka i jego dwóch starszych sióstr: Janiny i Zofii. Matka prowadziła stancję dla uczennic, babka dawała lekcje gry na fortepianie.

Zmuszała do grania także wnuka. „Chłopczyk był wszechstronnie zdolny – wspominał sam siebie. – Przepowiadano mu, że będzie marlarzem, no bo rysował jako tako, że aktorem, bo deklamował ładnie śliczne wiersze pani Konopnickiej, a koniec tym przepowiedniom położyła babka, bo chłopczyk miał słuch”.

Sadzała przy klawiaturze i mówiła: „Władziu, graj”. Grał: gamy, hanony i inne nudne ćwiczenia. „Pierwsze dwa tygodnie jakoś to

znosiłem, wbrew mojej krnąbrnej naturze – opowiadał po latach. – Potem zacząłem uciekać pod fortepian...”. Ale stamtąd babka wyciągała niesforne wnuka za nogę, więc zaczął kryć się w chaszczach najbardziej odległych zakątków ogrodu, gdzie nikt go już znaleźć nie mógł. W końcu babka odstąpiła od żmudnych palcówek i sama zaczęła grać wnukowi mazurki. „Jeden wlaź mi do serca jak drzazga i dotąd tej drzazgi nie mogę wyjąć” – mówił. Wtedy postanowił, że też będzie grał.

Zapamiętany z dzieciństwa dom i lekcje babki Broniewski przywołał w 1943 roku w Jerozolimie, pisząc nostalgiczny *Mazurek Chopina*.

A babka mi to grała
na starym fortepianie
w pokoju, gdzie fotografia
dwóch braci rozstrzelanych.

Bracia w czarnych czamarach
leżą w płockim ogrodzie,
a babka niedawno zmarła
niespodziewanie, gdzieś w drodze...

Owi dwaj bracia to Walerian i Romuald Lubowidzcy; obaj zginęli w powstaniu styczniowym, kolejnym, które miało przynieść Polsce, wykreślonej pod koniec XVIII wieku z mapy Europy, wolność. Walerian poległ, dowodząc powstańczym oddziałem, Romualda rozstrzelano, gdy trafił do rosyjskiej niewoli.

Chopinowski mazurek towarzyszył Broniewskiemu przez całe życie. Zastanawiał się, jak zapisać go słowami. Znał teksty Kornela Ujejskiego („Jego dotąd ni ma, a duszyczka roi”), ale to była niedobra szkoła, uważał. „I z tego złego punktu widzenia zaczęła się moja poezja. Całe życie myślałem, jak dorobić słowa do mazurka h-moll” – mówił.

Pod koniec życia zaczął dyktować żonie wspomnienia. Zdążył opowiedzieć o babce Jadwidze, o służącej Józefie, która była właściwie członkiem rodziny, i o sąsiadce, pani Tańskiej, która częstowała

kilkuletniego Władzia konfiturami i sepleniąc, recytowała mu wiersze. A kiedyś zabrała do lasu.

– Władziu, słysys, jak te dzewa sumią? – zapytała. „Usłyszałem na całe życie” – powiedział pół wieku później.

Wspominał rodzinny dom. Parterowy, z facjatkami, z ogrodem schodzącym trzema tarasami ku Wiśle, wielkim starym dębem i krzewem migdałowca (wtedy jeszcze w Polsce rzadkość). Przypominał moment przeprowadzki, gdy trzeba było sprzedać dom dziadka. Przenieśli się wtedy całą rodziną na płocki Stary Rynek, w dużo skromniejsze warunki.

Mówił nieskładnie, popadając w dygresje, wracając po kilka razy do tych samych obrazów: „Dyktuję te rzeczy 8 listopada 1960 trochę podminowany alkoholem, a to mnie niepokoi, ponieważ zamierzałem pisać o największej miłości mojego życia”. Tamtego dnia wspominał matkę. Piosenki, które mu śpiewała, zapach wody kolońskiej (nie używała perfum), sposób, w jaki podawała rękę do pocałowania. I wyjazd matki do Ciechocinka, który kilkuletni chłopiec bardzo przeżył, bo myślał, że to rozstanie na zawsze.

Któregoś dnia Zofia Broniewska powiedziała synowi: – Rób, co robisz. „Zdanie zaczerpnięte prawdopodobnie ze Spencera” – wspominał. „No i zdaje się, że spełniłem przykazanie Matki, cokolwiek robiłem w moim życiu, starałem się robić dokładnie, solidnie, sumiennie”.

Maria Oberfeldówna, córka znanego w Płocku adwokata i siostra Janka, z którym Broniewski ucieknie parę lat później do Legionów, zapamiętała małego Władka jeszcze z czasów przedszkolnych, z tzw. freblówki pani Wąsowicz, a potem także ze szkoły. Wszędzie go było widać, brał udział w każdej zabawie, bardzo udatnie naśladował pianie koguta, i „tłukł jak należało młodsze dziewczyny” – napisała. Nazywano go Kogutem.

Sam po latach opowiadał, jak w wieku jedenastu lat zakochał się najpierw w córce swego nauczyciela, a potem w jego młodszej siostrze, „w ogóle dłużej niż kilka miesięcy nie potrafił interesować się jednym obiektem”. Bardzo dużo czytał („dobre książki wypijał hau-

stem”) i doszło do tego, że w domu próbowano mu wręcz ograniczać lekturę.

Chodził do wywalzonego dzięki rewolucji 1905 roku Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej, zwanego w Płocku Jagiellonką albo po prostu Gimnazjum Polskim (w odróżnieniu od Gimnazjum Gubernialnego, w którym językiem wykładowym był rosyjski). Tam zaczął układać pierwsze wierszyki, krążące potem wśród uczniów. Oberfeldówna, przyszła pisarka i tłumaczka, zapamiętała fragmenty stylizowanej na chłopską gwarę *Opowieści dziadkowej o tym, co się w szkole działo*, w której Broniewski opisywał konflikt uczniów z jedną ze starszych nauczycielek.

Majom tera tam labe,
A to wszycko bez babe,
Jak zaczena im pomstować,
Psiekrwieć, tupać, cholerować,
Pośli sobie do domu,
Dyr. sie dostał w opresje,
Zwołał Rade na sesje...

„W tych pierwszych wyczynach wierszowanych zdecydowanie patronował mu Boy-Żeleński i jego *Słówka*” – wspominała Maria Oberfeldówna. Być może miała na myśli wierszyki takie, jak ten wpisany do pamiętnika jednemu z kolegów, najwyraźniej zakochanemu w uczennicy ze szkoły żeńskiej.

Panieneczka z Działówki
Ma staniczek dosyć wcięty,
Ładną buzię, zgrabną nóżkę,
Słowem – ważne dokumenty.
Gdy ci główką kiwnąć raczy,
To już zaszczyt jest niemały.
Dla niej – dla niej, mój Karolku,
Chodzisz jak skołowaciały.

Nie miał żadnej ambicji ubiegania się o czwórki...

Sam Broniewski był nieco gorszego zdania na temat swoich młodzińskich wierszy. Więcej w nich było Konopnickiej niż jego samego, twierdził.

– Pisywałem też do siebie samego listy od wymaginowanej dziewczyny i wrzucałem do skrzynki... – opowiadał po latach. – Potem pokazywałem je kolegom, żeby zazdrościli mi powodzenia.

Płockie Gimnazjum Polskie było przystanią dla nauczycieli, którzy narazili się władzom oświatowym. Jednym z takich niepokornych był polonista Władysław Gacki. Zanim trafił do Płocka, zaliczył nawet rosyjski areszt. Po latach wspominał płowowłosego, niesforne-go chłopca, który zajmował zawsze miejsce w ostatnim rzędzie ławek, bo tam najłatwiej było ukryć przed nauczycielem figle i kawały robione kolegom. „Nie przejmował się lekcjami. Zapytany, umiał odpowiedzieć. Nie miał żadnej ambicji ubiegania się o czwórki” – opisywał byłego ucznia. Nie szukał bliższego kontaktu z nauczycielem, jak robili to jego koledzy, ale kiedy Gacki wszedł w konflikt z płockimi konserwatystami, to właśnie Broniewski stanął po stronie wychowawcy. „Atmosfera szkoły dawała mi wiele, stamtąd nabrałem sił na całe życie” – wspominał po latach.

W 1912 roku na kilka miesięcy zmienił szkołę w Płocku na Gimnazjum Konopczyńskiego w Warszawie, gdzie wyjechał z matką. Tam poznał go Jan Lechoń. Zapamiętał „faceta”, który sypał powiedzeniami „ni w pięć, ni w dziesięć”, a podczas pauz popisywał się tańceniem kozaka; raczej „przygłupkowatego błazna” niż kogoś szczególnie poważnego.

Broniewski pojawił się w szkole kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego. Musiał uzupełnić różnice w programach gimnazjum płockiego i warszawskiego, co nie zawsze wychodziło mu dobrze. Podczas lekcji francuskiego nie potrafił prawidłowo odpowiedzieć na zadane pytanie, i w końcu najpierw niezdarną francuszczyzną, a potem po polsku wydukał, że tego języka dotąd się nie uczył i dlatego jest „zacofany”. Niczego więcej gromadzie wyrostków nie było trzeba. „Wśród wycia czterdziestu bęwałów, któremu z niektórych ławek towarzyszyło ogłuszające trzaskanie w pulpity [...] Broniewski

został odtąd nieodwołalnie i na zawsze «zacofanym» – wspominał Lechoń. „Na zawsze”, czyli do czasu, gdy po kilku miesiącach równie niespodziewanie, jak się pojawił, zniknął ze szkoły imienia Konopczyńskiego.

Na lata gimnazjalne Broniewskiego przypadły początki polskiego harcerstwa, wtedy jeszcze nazywanego skautingiem. W Gimnazjum Polskim drużynę organizował Broniewski. Leonard Życki, który chodził do innej szkoły, zapamiętał go ze wspólnej wyprawy skautów z różnych gimnazjów.

Wieczorem, w wypełnionej słomą stodole, w której zatrzymali się na nocleg, zaczęła się zabawa. Życki zauważył puciołowatego blondynka, który wyróżniał się znajomością wesołych piosenek, werwą i niezłym głosem. Spytał, kto to.

– Władek Broniewski. Chodzi do Pierwszej Budy – usłyszał.

Zaczęli widywać się częściej. Życki zapamiętał atmosferę domu Broniewskiego. Portrety przodków, którzy ginęli w powstaniach, stare meble, bogato zaopatrzoną bibliotekę, dobrze nastrojony fortepian. Stary dąb koło domu i pełen jabłoni i gruszy ogród, z którego roztaczał się niezrównany widok na Wisłę. Oraz domowy „fraucymer”, który dokuczał biednemu Władowi, że nie dość przykłada się do nauki.

W tym domu odbywały się spotkania, podczas których czytano patriotyczne utwory Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego i Żeromskiego, a potem rozmawiano o zbliżającej się wojnie i konieczności przygotowania się do niej przez młodych. A czasem czytało się humoreski Kornela Makuszyńskiego. „Bractwo zarykiwało się przy słuchaniu” – wspominał Życki.

Kiedys powiedział Broniewskiemu, że głosy o „wielkiej wojnie” są coraz słabsze i pewnie nic z niej nie będzie.

– Chyba nie chciałbyś, byśmy zapomnieli, kim jesteśmy, i zamienili się w Rosjan, Niemców czy Austriaków – usłyszał. – Musimy być gotowi do walki o niepodległą Polskę, a okazja wydarzy się wkrótce.

Broniewski był jednym z uczniów, którzy zorganizowali w Płocku sekcję Związku Strzeleckiego. Paramilitarna organizacja miała przygo-

Nie miał żadnej ambicji ubiegania się o czwórki...

tować młodzież do powstania, strzelcy potajemnie szkolili się w musztrze i taktyce (w zaborze austriackim związek działań legalnie, w pruskim i rosyjskim nie). Broniewski tak wspominał ten czas w wierszu *Modlitwa*.

Drużyniacy, siódmoklasiści,
konspiracja (już było się w kozie),
śpiewaliśmy uroczyście
o powstańczej kuli,
o powstańczym powrozie.

To było przed tamtą wojną,
piętnaście lat – to niewiele.
A śpiewać nie było wolno:
grób powstańców, a śpiewał „Strzelec”.

Po szóstej klasie gimnazjum (na świadectwie same dostateczne, tylko z religii – dobry) siedemnastoletni już prawie Włodek wynajął pokój na mieście. Oficjalnie po to, żeby lepiej skoncentrować się na nauce, nieoficjalnie pewnie dlatego, żeby zademonstrować swoją prawie dorosłość. Na ścianie powiesił sporych rozmiarów plakat z wykalgigrafowanym napisem: „Czas to pieniądz – goście!” i chętniej przyjmował tych, którzy nie zajmowali mu zbyt wiele czasu.

Na dłuższe rozmowy i spacerzy umawiał się na skwerze „za Tumem”. „Ustalaliśmy losy świata na najbliższe sto lat” – wspominał Życki. To tam Broniewski czytał mu swoje pierwsze wiersze („Już zbliża się chwila, wolności zaranie, / gdy Polska zbudzona do boju powstanie...”) i to tam latem 1914 roku zdradził Życkiemu, że po wakacjach zamierza zacząć wydawać w szkole pismo. Ma już nawet tytuł: „Młodzi idą”.

W czasie tych wakacji wybuchła wojna, później nazwana wielką, a jeszcze później pierwszą wojną światową.

Omali kamieniami za nami nie ciskano...

Przez pierwsze miesiące po wybuchu wojny Płock kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk. Gdy z miasta wycofywali się Rosjanie, wkraczali Niemcy. Kiedy ustępowali Niemcy, wracali na dawne pozycje Rosjanie. Mieszkańcy próbowali żyć normalnie, ale nie zawsze było to możliwe. Ostrzał artyleryjski uszkodził wieżę ciśnień i młyn, budynek Gimnazjum Polskiego został zamieniony na szpital, przez kilka miesięcy trwał stan niepewności, co dalej. Dopiero w połowie stycznia 1915 roku Płock na blisko cztery lata zajęli Niemcy.

Uczniowie, zwłaszcza tacy, jak Władek Broniewski – u progu męskości, szukali dla siebie miejsca. Temu służyły ćwiczenia Strzelca. Przekupywali Rosjan, żeby ci uczyli ich strzelać, kradli Niemcom karabiny, ćwiczyli się w walkach na bagnety, kolportowali patriotyczne pisemka, wydawali własne. Na użytek konspiracyjnych zebrań i szkoleń („kiedym karabin skradziony / niósł skrycie pod peleryną” – pisał w wierszu *Mogily*) Broniewski przyjął pseudonim „Orlik”.

Został naczelnym redaktorem („redaktorem nieodpowiedzialnym” – żartował po latach) pisma „Młodzi idą” (współredaktorami byli m.in. Jan Mariański, Jan Oberfeld i Feliks Celmer), pisanego ręcznie i powielanego na hektografie w mieszkaniu ojca Oberfelda.

Marysia Oberfeldówna dobrze zapamiętała Władka z tamtego czasu. Popielate ubranie, rozpięta marynarka, czarny, fantazyjnie związany krawat, wszystko w niezgodzie z obowiązującym uczniów gimnazjalnym kanonem. „Zawsze w stanie «pędzącym», wpadał na chwilę, przynosił wiersze wzywające do odlotu, które natychmiast szły na warsztat” – wspominała po latach. Dziewczęta pozazdrościły kolegom „prawdziwej” konspiracji i też postanowiły założyć patriotyczną gazetę o nazwie „Gazetka”. Szybko jednak zrezygnowały, bo

pismo okazało się dość naiwne, „mocno skarcone przez upolitycznionych chłopców (głównie dokuczył nam Broniewski)” – wspominała Maria Oberfeld-Majewska.

Pismo „Młodzi idą” miało tylko dwa wydania, pierwsze w listopadzie 1914 roku. Większość łamów kilkunastostronicowej gazetki wypełniał pod różnymi pseudonimami (Jan Czamara, H. Dembowski) sam Broniewski. Także wiersze, podpisywane „Orl”, były jego autorstwa.

Nam dzisiaj dość kajdan i głuchych ich brzęków,
dość westchnień beczynnych, dość cierpień i jęków,
my silni dziś ciałem i duchem...

– deklarował w *Już dość*. Wzywał do walki o zburzenie starego świata, który odebrał Polsce wolność. Pisał o świętym żarze, który zapłonął w sercach ludzi, i zaraniu wolności, gdy zbudzona do boju Polska powstanie przeciw ciemnościom. O żołnierzu ścielącym się pokotem na niezastygłym trupie wroga, o piołunie i szaleju, które ma zasadzić na mogile poległego żołnierza ukochana dziewczyna. Więcej było w tych wierszach młodzieńczej egzaltacji niż prawdziwej sztuki.

Uczeń siódmej klasy pisał też analizy polityczne, rozważając stosunek Polaków do wojny i zaborców oraz szanse na odzyskanie wolności. Przyglądał się swoim gimnazjalnym kolegom i nie mógł zrozumieć, skąd bierze się tak wielki kontrast między patriotyzmem jednych a obojętnością, a nawet zwykłą „podłością i kretynizmem” innych. Wierzył jednak w „uśpione, niespożyte moce” ludu polskiego. „Gdy się zbudzą, zerwą wszelkie krępujące więzy i lud sam poddyktuje sobie warunki przyszłego bytu!!!” – napisał w drugim numerze pisma. W PRL odczytywano te słowa siedemnastoletniego gimnazjalisty jako zapowiedź przyszłych ideowych wyborów rewolucyjnego poety.

W kwietniu 1915 roku pojawił się w Płocku oficer „od Piłsudskiego”, by w imieniu twórcy Legionów, które od kilku miesięcy były

się już o wolność Polski, objąć komendę nad oddziałem strzelców. 7 kwietnia 1915 roku gimnazjaliści, wśród nich Broniewski, otrzymali biało-amarantowe opaski na ramię z napisem „Legiony Polskie 1 pułk” oraz legionowy ekwipunek: pled, plecak, manierkę i kubek. Już na własną rękę każdy zapakował do plecaka dwie zmiany bielizny, łój do nóg, proszek i szczoteczkę do zębów, szczotkę do butów i inne drobiazgi. Broniewski dołożył jeszcze notes i ołówek.

Zbiórka oddziału została wyznaczona na piątą rano następnego dnia („Spać nie poszliśmy tego wieczoru” – napisał w wierszu Broniewski) na placu przed katedrą. Stamtąd grupa ochotników, wśród nich dziesiątka uczniów Gimnazjum Polskiego, między nimi Broniewski, Felek Celmer, Janek Oberfeld, Stefan Wasilewski, przeszła na przystań, gdzie wsiedli na statek, którym mieli dopłynąć do punktu zbornego Legionów we Włocławku. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział ani jaki będzie kształt nowej Polski, ani czy w ogóle uda się odzyskać wolność choćby na jakimś skrawku dawnej Rzeczypospolitej, najważniejsze było, żeby nie trwać w bezczynności, gdy inni się biją.

Nie znaleźli zrozumienia u płocczan. W miastach zaboru rosyjskiego „awantura” – jak powiadano – wywołana przez Piłsudskiego na zamówienie Austrii i Niemiec, nie wzbudziła entuzjazmu. Mało kto wierzył w powodzenie przedsięwzięcia. „Byliśmy przez jednych żegnani ze smutkiem, przez drugich z zimną obojętnością i ironią” – pisał Celmer.

Młody Oberfeld musiał wręcz uciekać przed posłanym w pościg za nim milicjantem. Dopiero kiedy założył na ramię biało-czerwoną opaskę z napisem Legiony Polskie, milicjant uznał, że nie może go zatrzymać. Werbunek do Legionów odbywał się za wiedzą i przyzwoleniem władz niemieckich (legioniści mieli przecież bić się przeciw Rosji), mimo to gimnazjaliści, którzy zgłosili się do wojska, zostali usunięci ze szkoły. Postawa Niemców była dwuznaczna. „O ile potrzebne im było mięso armatnie, o tyle zbyt nie dowierzali Polakom” – wspominała Maria Oberfeldówna.

Dopiero po paru latach, kiedy sytuacja polityczna pozwalała już mieć nadzieję na zmiany, w „Kurierze Płockim” ukazał się artykuł

opisujący dzień wymarszu z miasta: „Oto idą młodzi z wołaniem: «Nie ścierpią już niewoli!»! Idą, by ofiarą swej męki, swej krwi przybliżyć cud wolności. [...] A taki chłód, niezrozumienie, nawet wśród najbliższych. Mimowoli wyrzutem cisną się na usta wspomnienia tych chwil. Bo czemu, czemu nie dały wtedy serca matczyne błogosławieństwa synom? Czemu raczej przekleństwo i wyrzut były pożegnaniem słowem ojców? Czemu, jak złodzieje, przekradać się wśród ulic musieli wczesnym rankiem na miejsce zbrodni? Czemu używano pośrednictwa władz niemieckich dla wyciągania przemocą z szeregów tych, którym należało się uznanie największe od narodu?»

Po latach Celmer wspominał jedną z plockich dam, która kręcąc głową nad brakiem odpowiedzialności młodych szaleńców, zapewniała, że sama jest przecież najszczerzą Polką, a jej synowie na pewno też pójdą służyć ojczyźnie. „Jeśliby nie chcieli, to sama ich wysłę! Ale, darujcie panowie, po wojnie!!” – przekonywała.

Po wojnie Broniewski z goryczą patrzył, jak chlebem, solą i kwiatami witana jest w Płocku utworzona w 1918 roku we Francji armia generała Józefa Hallera. Wściekł się, choć pisał, że „to bydlę zwane «płocką inteligencją» ni mnie już ziębi, ni parzy”. Patrząc, jak przełożona plockiej szkoły dla dziewcząt Marcelina Rościszowska oraz endek, mecenas Stefan Baliński, witają żołnierzy Hallera, przypominał sobie, jak cztery lata wcześniej żegnano ochotników do Legionów Piłsudskiego. Zostali przez opinię publiczną wyklęci. „Dranie! omal kamieniami za nami nie ciskano. [...] Pies ich mordę lizał” – pisał.

Z punktu zbornego we Włocławku Broniewski trafił do szkoły podoficerskiej w Noworadomsku, a później do 4. pułku piechoty. Matka i siostra w Warszawie oraz babka w Płocku szalały z niepokoju. Nie miały pewności, czy listy, paczka i trzy ruble, które mu posłały, w ogóle do niego dotarły. Wiadomości, które sporadycznie dochodziły przez znajomych (poczta polowa działała kiepsko), były niepokojące.

Już na przełomie lipca i sierpnia 1915 roku Broniewski wziął udział w słynnej bitwie pod Jastkowem. Legioniści z I Brygady i 4. pułku piechoty starli się tam z wycofującymi się z Lublina oddziałami

armii rosyjskiej. Nie spodziewano się jednak ani tak dobrze uzbrojonych sił nieprzyjaciela, ani tak zaciekłego, trwającego cztery dni oporu. W efekcie zginęła pod Jastkowem ponad setka polskich żołnierzy, w tym wielu kolegów Broniewskiego. Wynik był tym tragiczniejszy, że także w oddziałach rosyjskich nie brakowało Polaków. I po obu stronach frontu co jakiś czas rozlegał się śpiew „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Wieści, które dochodziły z frontu do Płocka, były skąpe i niepewne. Ktoś widział Broniewskiego rannego, ktoś inny (Kaden-Bandrowski) słyszał, że 4. pułk wraca do Królestwa, do Kozienic pod Iwangrodem, gdzie kosztem miliona rubli zostaną wybudowane dla niego koszar. Tymczasem zbliżała się zima. Babka martwiła się, jak też wnuk zniesie w okopach mrozy, które zaczęły już dokuczać, matka posłała ciepłą koszulę. „Miej się też na ostrożności, gdyż Rosjanie podobno używają obecnie gazów duszących” – pisała.

W lipcu 1917 roku, po odmowie złożenia przysięgi na wierność Austrii i Niemcom, wraz z innymi legionistami trafił do obozu internowanych w Szczypiornie pod Kaliszem. Ostatnią noc przed wyjazdem spędził w Warszawie z prostytutką Staśką, która oddała mu się... za legionowy sztylet. „W ten sposób nie dałem się rozbroić” – wspominał parę lat później.

Matka posyłała mu do Szczypiorna paczki z żywnością oraz starała się załatwić zwolnienie. Pierwsza prośba, pisana odręcznie i po polsku, została odrzucona, więc kolejną napisała już na maszynie i po niemiecku. Nie była jednak pewna, czy to wystarczy, bo nie знаła w Warszawie nikogo wystarczająco wysoko postawionego, kto mógłby zaręczyć prawomyślność syna. „Do wszystkiego trzeba silnej protekcji i pleców” – skarżyła się Władkowi. Liczyła na poparcie Ludomira Grendyszyńskiego, płocczanina z pochodzenia, członka lojalnej wobec Austriaków Tymczasowej Rady Stanu. Oczywiście pod warunkiem, że Grendyszyński w ogóle będzie chciał z nią rozmawiać.

Posłała Broniewskiemu pieniądze na nowe buty, ale prosiła, żeby poszukał jakichś porządnych, bo wojenna inflacja spowodowała,

że w Warszawie ceny butów oszalały. I najlepiej, żeby rzucił palenie, bo o papierosy coraz trudniej, a i ich cena każdego dnia idzie w górę.

Spędził w Szczypiornie pięć miesięcy. Był członkiem Rady Żołnierskiej i komendantem bloku, w końcu jednak starania matki przyniosły efekt i w połowie grudnia wyszedł na wolność. Matka i siostra były w Warszawie, więc najpierw pojechał do nich, ale na początku stycznia był już w Płocku. Chciał zdawać maturę, ale powrót do gimnazjum okazał się niemożliwy. Dyrektor gimnazjum, Konstanty Dąbrowski, poradził, żeby przystąpił do egzaminu dojrzałości jako ekstern, a wolny czas wykorzystał na uzupełnienie braków na kursach przygotowawczych. Tylko matka niepokoiła się, czy płockie dziewczęta, zafascynowane bohaterską przeszłością syna, pozwolą mu się uczyć. „Głupie kozy myślą, że pojechałeś do Płocka, żeby je bawić” – ostrzegła i namawiała, żeby wrócił do Warszawy.

Maria Oberfeld zachowała wiersz, który latem 1918 roku ofiarował jej Broniewski.

Kogo złośliwie skazał los okrutny
z książką sam na sam spędzić lipiec, sierpień
pośród ścian czterech, ten często jest smutny
i udręczony przez sto różnych cierpień
i nieraz chciałby na wyspę bezludną
albo na księżyc uciec, jednak trudno

z całego świata tak nagle dać nura:
zbyt w rzeczywistości ugrzęzłem jak w błocie,
za sześć tygodni rubikon – matura,
a więc pobożnie „wkuwam” w czoła pocie
i rzekłem sobie: „alea est iacta” –
miast mózgu – cyfry mam, daty i fakta.

Mimo że Broniewski istotnie nie poświęcał czasu wyłącznie nauce (zachowała się fotografia z balu kostiumowego, w którym uczestniczył), 23 października złożył egzamin maturalny przed komisją eg-

zaminacyjną Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Królestwa Polskiego w Warszawie.

Nie zdał tak imponująco, jak być może oczekiwała tego matka – z wyjątkiem celującej oceny z religii, z pozostałych przedmiotów: języków polskiego, niemieckiego, francuskiego i łaciny, historii, matematyki i fizyki otrzymał noty dostateczne – ale wydawało się, że nic już nie przeszkodzi mu w podjęciu studiów.

Idiotyczne życie! Ciągłe kokoty, wódka, karty i nuda...

„Śmietnik umysłowy, drzewo wiadomości dobrego i złego, myśli swoje i cudze, rzeczy głupie i poniekąd dobre, samoanaliza i samokarykatura, małpie zwierciadło etc.

...A przede wszystkim swoboda koślawego stylu, koślawych wierszy, które wątpię, czy będą pokazane bliźnim – kinematograf własnej duszy”.

Tak w październiku 1918 roku rozpoczął były legionista, a wtedy już student filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, Władysław Broniewski, pisanie *Pamiętnika*. To jedyne tak obszerne i szczere świadectwo tego, jaki naprawdę był i skąd wziął się jego alkoholizm. Wyruszył na wojnę jako nastolatek. Siedem lat z niewielkimi przerwami spędził w świecie, w którym alkoholu nigdy nie brakowało. Nie mogło zabraknąć! Pomagał zabić nudę, ośmielał, pozwalał przełamać strach, a czasem przetrwać. Towarzyszył Broniewskiemu niemal każdego dnia.

Początek zapisków w *Pamiętniku* zapowiadał mocno egzaltowany raptularz młodości, który po wyrwaniu się w 1915 roku z domu na wojnę może wreszcie zająć się tym, co kocha naprawdę: czytaniem książek, pisanem wierszy, chodzeniem do teatrów. Pełno w pamiętniku metafizycznych uwag na temat Boga, stworzonego przez człowieka tylko dlatego, by się go bać; na temat dogmatyzmu religii upokarzającej ludzką myśl; i duszy będącej jedynie efektem wygimnastykowania zmysłów. Zapisywał myśli na temat czytanych właśnie wykładów Norwida o Juliuszu Słowackim („Spotkałem kilkanaście wyrazów niezrozumiałych dla mnie – jestem zawstydzony”), recenzje z *Don Juana* Tadeusza Rittnera w Teatrze Polskim („Silentium, bo będzie recenzja!”) i z powieści Zofii Nałkowskiej *Hrabia Emil* („Książka śmierdzi inteligencją”), rozmowę z Janem Lechoniem na temat poezji Tuwima

(„Przekonałem się, że Lechoń czuje, i to nieraz zupełnie tak jak ja”), próby prozatorskie po wyprawie do robotniczej dzielnicy Warszawy („Nagie kominy fabryczne czatują jak lasy szubienic i kłębami dymu urągają się błotu i nędzy”). Żałował, że nie ma komu tych prób pokazać, „a nie chcę durniom”.

Notował wszystko: wrażenie, jakie zrobiła na nim widziana w Łazienkach piękna dziewczyna w białej sukience i z bukietem narcyzów („Jedyna myśl, która mi się uporczywie po głowie kołacza, to zobaczyć Ją”), i „zabawny flircik” z młodą kuzynką Halszką Kamocką („Znów zauważyłem w sobie trochę Don Juana”). Opisywał interesujący wykład Juliusza Kleinera („podał mi się”) i nudny Marcelego Handelsmana („chciałem usnąć”), zajęcia z francuskiego, które uzmysłowiły mu, jak dużo musi jeszcze pracować nad językiem, i koszmarną biurokrację na uniwersytecie („dwie godziny stałem w ogonku, zanim przyjęto moje papiery”).

Kuzyneczkę Halszkę, z którą spokrewniony był przez dziadka Lubowidzkiego, musiał uważać za ładną albo rozumną. „Kobieta, która nie jest ładna, powinna być rozumna, inaczej jest nieznośna” – pisał z młodzieńczą arogancją zdobywcy. „Flircik” tlił się przez kilka następnych lat. Spotykali się, ilekroć był w Warszawie, przesiadywali w parkach, czytali wiersze skamandrytów, „przebiegali ulice, trzymając się za ręce”, wspominała po latach Halszka. Przystojny kuzyn wpisywał dziewczynie do pamiętnika wiersze z miłosnymi westchnieniami z jednej, a motywem śmierci z drugiej strony i przynosił naręcza kwiatów. „Miałam ich pełne ręce na spacerach, w parku, teatrze” – wspominała.

Poszli razem do Reduty na *Przechodnia* Bohdana Katerwy (właściwie Szczepana Jeleńskiego) z Juliuszem Osterwą i Marią Dulębianką w rolach głównych. Halszka wzruszona grą genialnego aktora rzuciła mu bukiet kwiatów, który dostała wcześniej od kuzyna. Bała się, że może poczuć się urażony, ale nie. „Władek uszczęśliwiony – dziękuje mi” – wspominała.

Czuł, że na uniwersytecie, w teatrze, czytając i pisząc wiersze, wreszcie jest szczęśliwy. „Bardzo bym sobie nie życzył wrócić teraz

do wojska – znów wróciłyby te zabójcze, puste, bezmyślne dni, idiotyczne i ordynarne rozmowy z idiotycznymi kolegami, wstrętne wegetacja koszarowa” – napisał 23 października 1918 roku. Ale już 6 listopada zanotował w *Pamiętniku* informację brzmiącą jak wyrok: „Idę do wojska (niech szlag trafi) pełen rezygnacji względem moich tak ślicznie zapowiadających się studiów”.

Idzie nie dlatego, tłumaczył się sam przed sobą, że imponują mu bogoojczyźniackie frazesy o ojczyźnie w niebezpieczeństwie, ani nie dlatego, że jakoś szczególnie pociąga go wojna z Rusinami. Idzie, choć przecież ma dość stania na baczność, salutowania i tym podobnych idiotyzmów. Idzie, choć przecież zawsze jest ryzyko, że wojsko zostanie wykorzystane w działaniach wymierzonych w demokrację. Idzie, bo... wzięło w nim górę to drugie „ja”, nakazujące: „altruizmu trochę, ufermo” – napisał.

Ale polskie wojsko na razie było tylko w Krakowie; Warszawą ciągle jeszcze rządziła lojalna wobec Niemców i Austriaków Rada Regencyjna. I nie było nikogo, kto potrafiłby powiedzieć na pewno, jak rozwinię się sytuacja polityczna. Zanim jednak Broniewski ruszył do Krakowa, do Warszawy przyjechał zwolniony z więzienia w Magdeburgu Józef Piłsudski. Broniewskiego nie było wśród witających go tłumów. „Diabli mi nadali być całą noc na tańcach i zasnęłam” – napisał. W Warszawie zaczęło się rozbrajanie Niemców. „Cały gmach uciśku, dławiący kraj przez trzy lata, runął w ciągu jednego dna” – pisał.

Popędził do koła POW, gdzie zbierali się legionieści. Dostał mundur, czerwoną opaskę, i został zastępcą komendanta dzielnicy, a nawet – na cztery godziny – komendantem. Pisał, że w tym powołanym naprędce wojsku panował taki bałagan, beztroski „nasermateryzm” i duch leguński, który pozwala mu poczuć się dobrze. Przeszkadzały tylko narodowe, wręcz pogromowe nastroje, które nagle pojawiły się w Warszawie. „Niemordowani poszukiwacze bolszewizmu”, jak ich nazwał, chcieli połączyć socjalistów z Żydami i pozbyć się od ręki jednych i drugich. Podobna atmosfera zapanowała na uniwersytecie. Hurrapatriotyzm połączony z antysemityzmem. „Co za bydlę” – irytował się na kolegów z uczelni.

Był jednak przekonany, że Komendant, który przejął z rąk Rady Regencyjnej władzę, nie dopuści do ekscesów. „Upraszcza to o wiele moje wątpliwości społeczno-polityczne; można bezpiecznie wstąpić do wojska i nie obawiać się, że będzie ono narzędziem w niepowołanych rękach”.

Po tygodniowej niemal nieprzerwanej służbie w komendzie dzielnicy, odespaniu zmęczenia, pod koniec listopada wyruszył do Krakowa, a potem do Lublina i Hrubieszowa, gdzie w końcu otrzymał przydział w jednostce stacjonującej w Włodzimierzu Wołyńskim. Dostał oficerską kwaterę i wikt, ale zamiast oczekiwanego awansu na podporucznika tylko tytuł podchorążego. „W rzeczywistości ni pies, ni wydra” – pisał w *Pamiętniku*. W dodatku bez żadnego żołdu. Nominacja przysłała dopiero wiosną następnego roku. Podchorąży Orlik stał się pełnoprawnym podporucznikiem Orlikiem.

Jednak nawet jako podchorąży pędził życie oficerskie. Służbę zaczynał o ósmej rano trzygodzinnymi ćwiczeniami z kompanią (choć często zdarzało się, że spał do dwunastej). Potem półtorej godziny udawania pracy i obiad do drugiej. Kolejne trzy godziny ćwiczeń, które częściej się nie odbywały, niż odbywały, i od piątej panowie oficerowie mieli czas dla siebie. Czyli na zabawę, hazard, pijaństwo i... kobiety.

Ktorego wieczora zaprosił do zajmowanego z kilkoma kolegami mieszkania cztery dziewczyny. Panowie oficerowie panny nakarmili i upili, kiedy jednak chcieli wziąć od nich to, na co liczyli, dziewczyny, ochoczo wcześniej przytulające się i flirtujące („lepiej niż kokoty” – pisał Broniewski), powiedziały: nie. „Prawią o swej niewinności” – obruszył się. „Skorzystałem tyle, że jedna podrapała mi całą twarz, a druga zemdlała podczas przypuszczanego przeze mnie ataku, tak, że musiałem ją cucić. Tak więc, spaliwszy się na panewce, o trzeciej zły poszedłem spać”. Nie zawsze jednak zabiegi okazywały się tak nieskuteczne. „Idiotyczne życie! Ciągłe kokoty, wódka, karty i nuda – pisał. – [...] Przylega to do człowieka jak błoto i potem czuję wstręt do samego siebie”. Efektem był złapany od którejś z panien tryper, który nie opuszczał go przez kolejne miesiące.

Dowodził kompanią w tzw. półbatalionie szturmowym Kazimierza Jankowskiego-Jasińskiego z 5. pułku piechoty Legionów, oficera dobrego, ale, zdaniem Broniewskiego, niezbyt głębokiego intelektualnie. W kompanii miał żołnierzy z różnych miast Wołynia i Ukrainy. „Do służby są chętni i pojętni, ale mało wytrzymali” – pisał o nich.

Głównym zadaniem polskiego wojska w Włodzimierzu i na całej zachodniej Ukrainie było utrzymanie, w niepewnej powojennej sytuacji, przyłączonych do Polski ziem. Choć Broniewski miał wątpliwości, czy przyłączonych słusznie. W powiecie włodzimierskim na trzydzieści tysięcy mieszkańców większość stanowili Rusini, a już za Bugiem nie zdarzyło mu się spotkać choćby jednego chłopą Polaka. Rusini nienawidzą Polaków i w wypadku plebiscytu opowiedzieliby się raczej za Rosją niż Polską, uważał. „Znaczy się, że zajmujemy ten kraj przemocą, czyli odgrywamy rolę okupantów” – pisał.

Najgorzej znosił wymuszanie na chłopach kontyngentów żywności. Opornych doprowadzano do koszar i bito. Każdego dnia kilku lub kilkunastu Ukraińców dostawało po 25 batów, które i tak nie zwalniały ich od obowiązku dostaw. Patrzył na to z oburzeniem, bo nielegalnym handlem żywnością, za który brutalnie karano chłopów i biednych Żydów, na znacznie większą skalę zajmował się też włodzimierski starosta Grodecki. Ale wyznaczeni do pilnowania porządku wojskowi patrzyli na ten proceder przez palce. „W taki sposób stanowimy niejako republikę z konstytucją stanu oblężenia” – pisał Broniewski.

Obserwował z oddali zmieniającą się sytuację w Warszawie i coraz bardziej brutalne ataki na Piłsudskiego w endeckiej prasie. Uważał, że rząd nie powinien patyczkować się z przeciwnikami Naczelnika Państwa, „tylko zamknąć ich, a pismo zawiesić”.

W połowie grudnia przyszedł wreszcie czas na „prawdziwą” wojnę, choć tak naprawdę – jak ocenił Broniewski – na ekspedycję karną. Oddział wyruszył do Jakowicz pod Dołhobyczowem, gdzie były podoficer rosyjskiej armii – jak usłyszeli – zbroi chłopów i nawołuje do walki o suwerenną Ukrainę. Owym podoficerem był Semen Pe-

tlura, ukraiński polityk, który w imię niepodległości swego narodu bił się już ze wszystkimi: Niemcami, radzieckimi komunistami i rosyjskimi antykomunistami.

W Jakowiczach zamiast wojska znaleźli gromadę przestraszonych wieśniaków. Po serii z ustawionego na dachu kapliczki karabinu maszynowego i razach wymierzanych nahajkami („Świderski zachowywał się jak stupajka, jego ułani jak bandyci” – pisał o jednym z dowódców) oddali siedem karabinów i stali się bardzo ulegli. Jeszcze bardziej spokornieli, gdy dwóch wieśniaków sąd wojenny skazał na śmierć.

Wojna, która początkowo nadawała się jego zdaniem najwyżej na felieton w ilustrowanym czasopiśmie (nawet taki napisał, ale nie opublikował), coraz bardziej przypominała mu ponurą groteskę. Wojsko w podartych płaszczach i dziurawych butach, z zacinającym się w najważniejszych chwilach karabinem maszynowym, miało za przeciwników śmiertelnie wystraszonych ukraińskich chłopów. Tyle, że ginęło w niej coraz więcej ludzi.

Przez kolejne tygodnie czekali na Petlurę. W święta pojawiła się informacja, że na liczący 120 żołnierzy półbatalion włodzimierski maszeruje „armia” złożona z tysiąca Ukraińców. Kompania Broniewskiego zajęła umocnienia obronne i... marzła w nich przez cały dzień. Wieczorem okazało się, że alarm był fałszywy i można wracać do koszar.

Pod koniec stycznia 1919 roku Ukraińcy naprawdę zaatakowali Włodzimierz. Zaczęła się chaotyczna walka najpierw na ulicach miasta, później na przedpolach, zasadzki, wzajemne okrażanie i nieustająca niepewność, z której strony będą strzelać snajperzy. W rozbitej chałupie trafił na dwóch przysypanych ziemią i gruzem żołnierzy. Wyglądało, jakby spali. Broniewski chwycił jednego za rękę, była jeszcze ciepła. Zaczął odwalać gruz, żeby ich ratować. „Jaworski zaświecił zapalnik: zobaczyłem, że żołnierz ów nie miał głowy”. Drugi też był zmasakrowany. Potem ginęli kolejni: koledzy, podwładni; zaczął się zastanawiać, jak długo jemu uda się uniknąć śmierci. W każdej chwili może przecież stać się takim „zakrwawionym niczym”, jak

owi dwaj, których znalazł w rozwalonej chałupie. W imię czego? Dążenia do sławy? Bohaterstwa? Zwyczaj godności? – zastanawiał się.

Po odparciu Ukraińców wojna pokazała jeszcze inne oblicze. Część żołnierzy za przyzwoleniem, a czasem wręcz podjudzana przez dowódców, zaczęła rabować i na własną rękę wymierzać „kary”, zwłaszcza Żydom, bo zbyt radośnie, chlebem i solą, witali wkraczających Ukraińców. „Poznałem po raz pierwszy nasze ojczyste chuligaństwo” – napisał Broniewski.

Kilka miesięcy spędzonych w wojsku spowodowało jednak, że znów inaczej zaczął patrzeć na cywilne życie. Urlop w Warszawie, ludzie, z którymi się spotykał, oglądane w teatrach spektakle, artykuły w gazetach, nawet ulica, na której nie było wojska, nudziły go. „Wszystko wydaje mi się tak idiotycznie głupie, tak banalne” – pisał. Z ulgą wrócił do Włodzimierza. Jego kompania wzięła udział w bitwach pod Zimnem, Poryckiem, Oździutyczami i Torczynem, w końcu jednak, pomniejszona w wyniku strat do rozmiarów plutonu, została wycofana na tyły. Podporucznik Broniewski miał zająć się szkoleniem rekrutów, którzy zastąpią rannych i zabitych.

W Warszawie dowiedział się, że jest bohaterem. Matka pokazała mu numer „Kuriera Płockiego” z 6 kwietnia 1919 roku z artykułem o wybitnych zasługach dla Polski Władysława Broniewskiego, który „nie licząc bojów legionowych, ma już za sobą w obecnej walce o Wolność Ojczyzny 17 bitew i brał zaszczytny udział w wypadzie pod Poryckiem”. Nie zażywał jednak zbyt długo odpoczynku na tyłach, ani sławy, bo przyszedł rozkaz wyjazdu do Wilna. Miał bronić granic odrodzonej Polski i przed Litwinami, którzy ogłosili właśnie niepodległość, i przed Armią Czerwoną, która chciała uczynić z Litwy swoją republikę.

„W Wilnie jest «byczo»” – notował. „Wynaleźliśmy sobie jakąś eksbolszewicką kwaterę, ongi mieszkanie urzędnika rosyjskiego [...] i wiemy tu żywot burżujski”. Luksusowe meble, porcelanowa zastawa, fortepian, na którym wygrywał walczyki, balkon z widokiem na ogródek, niewielka biblioteczka z dziełami Lwa Trockiego i innych komunistów. Po lekturze przemówień Trockiego nabrał do nie-

go szacunku, po przeczytaniu książki *W komunie* Ustinowa doszedł do wniosku, że komuniści są podobni do jezuitów albo jakichś sekciarzy. „Nie zdają sobie sprawy, jak daleko odbiegają od nauk papy Marksa et consortes” – napisał.

Zajęć służbowych miał niewiele, bo szkolenie rekrutów udało się sprowadzić do wspólnych wypadów nad Wilię, więc szukał sposobu, jak zagospodarować wolny czas, czyli... znaleźć damskie towarzystwo. „Marzę o jakimś fantastycznym romansie z demoniczną kobietą” – pisał. Ale poznana na ulicy piękna wilnianka, Maria Dokalska, okazała się nieprzystępna („Nie spodziewałam się, że Polacy na ulicach zaczepiają” – usłyszał), a potem jeszcze nad towarzystwo podporucznika piechoty przedłożyła asystę przystojnych lotników. Czar wydawało się prysł (miało się okazać, że nie na długo!), jednak potrzeba kobiecego towarzystwa nie zgasła. Przeszkadzał tylko tryper, którego w warunkach wojskowych nie mógł wyleczyć, „trzymam się mnie uporczywie” – skarżył się.

Podczas kolejnego urlopu w Warszawie i Płocku znajome panny z dawnych i niedawnych czasów popatrywały na niego zalotnie, ale on bardzo uważał, by nieopatrznym gestem czy zbyt śmiałym flirtem nie wpaść w sytuację, od której już krok tylko do ołtarza. Coraz bardziej jednak odczuwał brak kobiety. Chodził ulicami Warszawy pograżony w lubieżnych rozmyślaniach. „Podświadomie czułem w sobie jakiś samczy instynkt, który popychał mnie do samicy. Zaczynałem już ciekawie patrzeć nawet na kurwy” – pisał.

Zaczepił dziewczynę idącą Alejami Jerozolimskimi i strzał okazał się trafny. Szybko przeszli od słów do pierwszych pocałunków, nie musiał nawet kupować kwiatów. Potem była kawiarnia, kabaret, kolacja w restauracji, wieczorne obściskiwanie pod domem panny. „Pewny jestem, że nie jest kurwą” – zanotował. Znajomość z Wandzią trwała przez kilka tygodni i wszystko zmierzało ku finałowi. Któregoś wieczora w kinie przez półtorej godziny całowali się, „co doprowadziło nas oboje do szaleństwa. Czułem, że gdyby to było w innych okolicznościach, uległaby” – pisał. Innym razem: „wystarczyłoby jedno mrugnięcie, aby Dusia straciła swoje wątpliwe dzie-

wictwo”. Była jednak przeszkoda. „Mając trypra na wyleczeniu, nie-dobrze jest co dzień rozpalać się do czerwoności, aby potem długo nie móc się uspokoić” – ubolewał. W końcu jednak, gdy był już zdrow, zapisał – „Bastylia została zdobyta”. Jak się spodziewał, nie znalazł śladów, „żebym był pierwszym”.

Znajomość z Wandzią, pisał, „nieźle” go kosztowała. Zerwanie nie oznaczało jednak poprawy sytuacji finansowej, bo natychmiast odnowił znajomość z prostytutką Staską, dziewczyną, z której usług korzystał wcześniej wielokrotnie. Jako sierżant Legionów, po zwolnieniu ze Szczypiorna i później, już jako oficer wojska polskiego. „Całe nieszczęście, że nigdy nie miałem dostatecznej ilości pieniędzy dla Staśki” – napisał.

Urlop przeszedł mu na romansach, plażowaniu nad Wisłą, piciu wódki, czytaniu „głupich” książek i chodzeniu do teatrów na „głupie” sztuczki. „Stałem się głupim i trywialnym pasibrzuchem” – pisał. Parę dni spędził w Zakopanem i Krakowie, gdzie spotkał się ze starym znajomym. Było jak w Warszawie. Pili, potem opłacili jakieś prostytutki i pili dalej z nimi. Powrót do wojska przyjął z ulgą. Nawet bitwy takie jak ta pod Gogowem, gdzie z kilkunastoma ludźmi musiał przez godzinę bronić się przeciwko dwom bolszewickim kompaniom i bliski był dostania się do niewoli, wspominał lepiej niż warszawską nudę.

W Wilnie, oprócz kompanii i kolejnych mało zajmujących, jak uważał, potyczek, czekała Maria Dokalska, która najwyraźniej dobrze poczuła się w roli femme fatale, pożądanej, lecz niedostępnej. Pozwalała podporucznikowi Orlikowi zachowywać nadzieję, kusiła i zwodziła, ale w odwodzie był za każdym razem kuzyn, który pojawiał się zawsze w najmniej przez Broniewskiego pożądanym momencie. Drażniło go to: „Pierwszy to raz zdarza się wypadek, że nie mam przewagi nad kobietą”. W *Pamiętniku* napisał, że choć wszyscy są przekonani, iż jest w pannie głęboko zakochany, a i sama Maria traktuje go jak niewolnika, od którego można wymagać wszystkiego, nie dając nic w zamian, to dziewczyna jest mu najzupełniej obojętna. Owszem, napisał dla niej siedem miłosnych sonetów, ale Maria podobna mu się wyłącznie jak ładna lalka pachnąca dobrymi perfuma-

mi i nosząca piękne szmatki, jednak bez duszy. A i ona wcale nie darczy go jakimś szczególnym uczuciem. Bo brak mu ofensywnego ducha i męskiej beczelności. Bo niedołącznie prowadzi rozmowy towarzyskie. Bo, wreszcie, nie jest dość przystojny.

Postanowił zerwać nieprzynoszącą nikomu satysfakcji znajomość. To znaczy... przestać przychodzić do gospody, w której zbierała się na tańcach wileńska młodzież. „Nie ma w tym żadnej tragedii, jestem zdrow i trawię dobrze, tylko... nudzę się” – zanotował. Nie pomogły umizgi do „znajomej skautki”, Janki Rymkiewiczówny. „Jeżeli cała Litwa, ojczyzna Pani, jest tak nudna, to wcale się nie dziwię, że gdym był młody, to senność ogarniała mnie nad *Panem Tadeuszem*” – pisał do niej. Nudy nie było w stanie zabić nawet objęcie funkcji dowódcy kompanii, gdy jego poprzednik, podporucznik Stanisław Piękoś, rozpił się i rozhulał tak, że dowództwo straciło cierpliwość. Do czasu, gdy poznał... Pipcię.

Pipcia, czyli Zofia Dż., była wysoką, szczupłą blondynką, wyglądającą jak „angielska miss”, żoną Ormianina czy Gruzina, który przepadł gdzieś podczas wojny. Mieszkała w podwileńskich Szyrwintach, miasteczku długim jak kiszka i deskami zabitym. Spodobali się sobie od razu, „lubi życie i użycie” – napisał Broniewski. Podczas jakiejś wycieczki konnej przeszli na ty i wjechali w gęstwinę, by pocałunkiem dopełnić bruderszaftu. „Później nastąpiło to, co zwykle w takich sytuacjach następuje: daliśmy upust wzburzonej krwi”. Jak zwykle pokwitował rodzący się związek napisanymi dla nowej ukochanej trioletami. Taka była wersja dla Pipci, bo przed samym sobą przyznał się, że triolety były lekko tylko przerobionymi sonetami, które nie tak dawno napisał dla Marii Dokalskiej.

Triolety podziały. Spędzili razem dwa dni w Wilnie, jedząc i pijąc w Bristolu, rozbijając się dorożkami, a wieczorami chodząc do teatrów. Podporucznik Orlik wydał przeszło tysiąc rubli, ale ani przez chwilę tego nie żałował. Spędził dzięki Pipci dwa najcudowniejsze dni w życiu, napisał. Po szampańskiej kolacji zawiózł ją do swego pokoju na Zakrętowej. „Zocha dała mi maksimum rozkoszy fizycznej, jaką może dać kobieta” – dodał.

Idiotyczne życie! Ciągłe kokoty, wódka, karty i nuda...

Z wdzięczności epos *Historia romantyczna*, napisany dla Dokalskiej, przeredagował i poświęcił Pipci. Rymy nie były najwyższej próby, ale dla adresatek (obu!) na pewno ważniejszy był ogrom uczucia włożonego w nie przez autora.

...bo kiedy rozkosz otoczy nas szalem,
to pocałunki słane ust pożarem
pełzają po jej cudnym ciele białem
nienasycone najśłodszym nektarem...
Całuję stopy, włosy, oczy smętne
i usta czarem upojne, namiętne.

Namiętność do Pipci trwała kilka tygodni i choć przekonywał kochankę, że darzy ją uczuciem, które da się wyrwać z duszy tylko wraz z sercem, to w *Pamiętniku* napisał, że sam nie wierzy w te słowa. No, ale miał przynajmniej o kim myśleć, goniąc na czele kompanii Litwinów, którzy atakowali polskie posterunki. Z przyjemnością rejestrował pełne niepokoju spojrzenia Zofii, gdy wyruszał na kolejne potyczki (zwłaszcza gdy poprzedzały ją opowieści o liczącym pięćset osób oddziale przeciwnika albo gdy straty w ludziach sięgały już kilkudziesięciu żołnierzy). „Pięknym jest to połączenie: wojna i miłość” – pisał. „Człowiek samemu sobie wydaje się bardzo romantycznym, gdy prosto z uścisków kochanki pędzi na koniu gdzieś w ciemną noc”.

Wojna na Litwie rozgorzała na dobre. Wieści z frontu przychodziły coraz bardziej wstrząsające. Ranni polscy żołnierze byli przez miejscową ludność dobijani, z konających zdzierano ubrania i buty, a potem obwożono po ulicach miasteczek i osad zmasakrowane nagie ciała, bez głów i z wnętrznościami na wierzchu. W jednej z miejscowości woźnica podjechał do grupki płaczących kobiet, szydząc: „Chodźcie tu! Wybierajcie sobie męża”.

Pipcia wiedziała, jak żegnać ukochanego, wyruszającego na śmiertelny być może bój. Gdy wyjeżdżał, by pogrzebać zabitych przez Litwinów towarzyszy, postanowiła go odprowadzić. Zaczęli się całować.

„Poszliśmy w sąsiednie krzaczki, gdzie ściskaliśmy się jeszcze intensywniej” – zanotował. I wszystko byłoby pięknie jak w dziewiętnastowiecznym romansie, gdyby jeden z kolegów nie zdradził Broniewskiemu, że gdy on objeżdżał podległe placówki, Pipcia umiała noce innym. Broniewski nie przejął się tym zbytnio. „Zaspokajanie popędu płciowego uważam za rzecz konieczną dla każdej płci” – napisał, choć jednocześnie zauważył, że niemiło jest być jednym z wielu. – „W ogóle, jak wyraziłem się do Zenka, «Pipcia się kończy»”.

Skończyła się Pipcia, ale wróciła Wandzia, którą spotkał przypadkiem przed wejściem do kina. „Nazajutrz randka i mała wenta w hotelu. Byłem niezwykle energiczny. Nazajutrz to samo” – pochwalił się. Ale powtórny romans z Wandą skończył się równie szybko, jak zaczął. „Przyczyną kobieca niecierpliwość; bo gdy w jednym z najbardziej drastycznych momentów naszego wiosenno-fizjologicznego stosunku okazałem pewien brak energii potencjalnej, Wandzia zrobiła mi skandal, mówiąc: Nienawidzę cię!” – zapisał. Dotknięty do żywego ubrał się i wyszedł.

Życie, jakie pędził, powodowało, że nie bardzo palił się do wizyt w Warszawie u matki, która wypominała synowi brak listów i wielomiesięczne nieobecności. „Przyjedź już nareszcie, mój drogi, gdyż cierpliwość moja już się wyczerpuje” – pisała, wyliczając przy okazji rzeczy, które posłała synowi w paczce. Kawałek bułki, którą piekła z siostrą Broniewskiego, bo zabrakło chleba, dwa kawałki czekolady (bo droga), kawałeczek kielbasy, odrobinę cukru, węgierskie wino, buteleczkę wódki i stare, podarte, ale ciepłe skarpety. Prosiła syna, żeby, jeśli się da, kupił w pułku trochę bielizny i postarał się o materiał na ubranie, bo w Warszawie wszystko jest z dnia na dzień droższe. Przepraszała, że musi odłożyć zakup dawno przyrzeczonego synowi zegarka, ale przeznaczone na prezent pieniądze poszły na zakup żelaznego pieca. Gospodarz kamienicy, w której wynajmuje mieszkanie, zapowiedział, że zimą nie będzie domu ogrzewał i każdy z lokatorów musi o to zadbać sam.

Martwiła się o syna. Przedłużająca się wojna powodowała, że przyszłość, jaką sobie dla niego wymarzyła („w dziedzinie nauki

i wiedzy”), stawała się coraz mniej realna. Ale czuła też, że nie tylko miesiące spędzane na froncie są temu winne. To samemu Władkowi nie bardzo na tym zależy. „Nie znać w Tobie pracy nad wyrobieniem silnej woli i charakteru” – pisała. Zastępował ją alkohol, o który i na froncie, i w koszarach, i podczas urlopu było łatwiej niż o cokolwiek innego. „Za godzinę odmarsz. [...] Baon wzywa na wódkę” – zakończył jeden z wpisów w *Pamiętniku*.

Pod koniec 1919 roku znów zaczęły się walki. Pierwsza dywizja, a w jej ramach 1. pułk piechoty i 8. kompania Broniewskiego, wyruszyła zdobywać Dźwińsk. Poszło nadspodziewanie łatwo; miasto zostało odbite z rąk bolszewików szybko i bez większych strat („bolszewicy wiali na złamanie karku”), a następnego dnia znów zaczęło się coś, do czego Broniewski nie mógł przywyknąć. Zwycięzcy przystąpili do rabowania żydowskich sklepików. Patrzył na przerażonych i nienawidzących „okupantów” mieszkańców Dźwińska z jednej strony, i na rozwydrzonych polskich żołnierzy i oficerów z drugiej. „Najniższe instynkty wypływają na wierzch” – pisał.

W Dźwińsku kompania Broniewskiego spędziła tylko dwa dni. Zdążył zaledwie zabawić się swobodnie, jak pisał, z miejscowymi Rosjankami i znów trzeba było ruszać na front, pod Lanckoronę, gdzie Rosjanie kontratakowali zaciekle i dużymi siłami. Kilku ludzi z oddziału Orlika zginęło, kilkunastu kolejnych zostało rannych. Po trwających całą noc walkach nieprzyjaciel został odparty, wzięto nawet jeńców, okazało się jednak, że po ciemku część walk toczono ... z polskim 6. pułkiem piechoty. Ktoś „życzliwy” doniósł do sztabu, że powodem strat w ludziach pod Lanckoroną była nieostrożność oficerów, w tym podporucznika Broniewskiego. Zastanawiał się w związku z tym, czy wyczekiwany od dawna order *Virtuti Militari* zawisnie na jego piersi. Nie zawisł, plotki zrobiły swoje, mimo oficjalnych pochwał, które dostał po inspekcji. Rozgoryczony wyjechał na urlop. Przez Wilno do Warszawy, gdzie miał nadzieję odetchnąć od wszelkich dowódczych, awansowych i orderowych ambicijek. Przekonał się jednak, że po kilku latach wojowania jedynym środowiskiem, w którym czuje się naprawdę „u siebie”, jest armia. Z ulgą

wrócił do swojej kompanii. Wojny co prawda znów było niewiele, ale mógł dzięki temu poświęcić się szkoleniu rekrutów („„Jasiów» kształcą we wszystkie mądrości i widzę w tym swą społeczną użyteczność” – pisał), a oprócz tego nauce francuskiego, grze na fortepianie i ...uwodzeniu panny Lili, Rosjanki poznanej we dworze w Baranowiczach, gdzie stacjonował. Uwodzeniu, ku jego własnemu zdziwieniu, nieskutecznemu, choć wspinał się na szczyty elokwencji. „Nie chciała mi się oddać, mówiąc, że ja, odjeżdżając jutro, miałbym o niej potem złe wyobrażenie” – zanotował.

Wyjeżdżał na Ukrainę; w połowie kwietnia 1920 roku przyszedł rozkaz odwołujący kompanię Broniewskiego z Litwy. Żołnierze znów potrzebni byli na Ukrainie, gdzie polskie wojsko razem z sojusznikami od paru miesięcy, po zawarciu przez Piłsudskiego z Semenem Petlurą porozumienia, oddziałami ukraińskimi, ruszało właśnie na Kijów. Już 12 maja mógł w *Pamiętniku* zapisać: „Zajęliśmy go bez strzału – bolszewicy sami uciekli”.

To wtedy miało miejsce wydarzenie, które wspominał po czterestu latach w reportażu z wyprawy na sowiecką Ukrainę i do Kijowa.

„Piękne to miasto zmieniało wtedy po raz, zdaje się, dwiętnasty okupację” – pisał. Po Niemcach, oddziałach Semena Petlury, białogwardystach, kilkakrotnie bolszewikach, weszły do miasta oddziały armii dowodzonej przez Edwarda Rydza-Śmigłego. Razem z petlurowcami, z którymi jeszcze rok temu Polacy bili się na Wołyniu.

Po jednej z bitew, w okolicach Wasilkowa, doprowadzono do sztabu jeńców. Jeden z Ukraińców, którego Broniewski poczęstował papierosem, zaciągnął się i zapytał:

– Kiedy zostanę rozstrzelany?

Nie chciał uwierzyć, że w polskim wojsku jeńców się nie rozstrzeluje. Przyznał się przecież, że jest komunistą, więc na pewno zostanie rozstrzelany. Wmawiał Broniewskiemu, że jest robotnikiem z Charkowa, ale Orlik nie miał złudzeń, że łże. Wyglądał na inteligenta.

– I co tam u was w Charkowie słysząc? – spytał Broniewski.

– Ano, budujemy.

Idiotyczne życie! Ciągłe kokoty, wódka, karty i nuda...

– Co budujecie?

– Wszystko. Nowe życie. Socjalizm.

– No i jak idzie?

– Dobrze. Ale trzeba przyznać, żeście nam teraz porządnie zaszkodzili...

Kiedy wraz z innymi więźniami miał już ruszać w drogę do obozu jenieckiego, Broniewski jeszcze raz wyciągnął w jego stronę paczkę z papierosami.

– Dziękuję. Za delikatne – odmówił.

„Odszedł, nie doczekawszy się rozstrzelania” – wspominał Broniewski.

Na początku w Kijowie było jak zwykle. Trochę służby (znów stracił kompanię na rzecz starszego stopniem oficera, ale znalazł posadę w sztabie brygady), trochę rozrywki, trochę miłostek. Siełanka szybko jednak się skończyła. Słynna armia konna Siemiona Budionnego nie dawała polskim oddziałom spokoju ani w dzień, ani w nocy.

Porucznik Broniewski galopował wzdłuż frontu wciąż z nowymi rozkazami. Nie było czasu na porządny posiłek, na sen, ani na wypoczynek. Żalił się, że będąc oficerem, i to w dodatku sztabowym, musi dzielić los zwykłego żołnierza, a z tyłka zrobił mu się już kotlet albo befsztyk. „Bolszewicy rzucili na nas jakieś lepsze, bitniejsze wojska i w dużej ilości” – napisał. W końcu otoczeni przez Budionnego Polacy zaczęli się wycofywać. „Straty ciężkie, ale nie napoleońskie” – dodał. Wyliczał nazwiska rannych i zabitych przyjaciół, znajomych, podwładnych i dowódców, których śmierć kwitowało zwykle krótkie stwierdzenie: szkoda chłopu, bo na więcej i tak nie było czasu. „Przed nami, za nami trupy” – dodał.

Kilka lat później, w wierszu *Młodość*, napisze:

...Kowalski – rozerwany granatem, Ignaczak –
cztery kule w pachwinę. Nowak – od szrapnela.
Marciniak – kula w piersi... pamiętam, jak patrzył
i skamlał umierając: „Wody... przyjaciele...”

Szybko zaczął mieć dość wątpliwej kariery w sztabie i poprosił o powrót na front. Został dowódcą 2. kompanii 1. pułku piechoty Legionów, której w istocie nie było. Niedobitki, które pozostały po bitwie pod Borodianką, zostały rozparcelowane do innych robót, więc żeby cokolwiek dowodzić, porucznik Orlik musiał najpierw oddział zorganizować. W zapomnienie poszły panny i romanse, nie miał czasu ani na pisanie listów, ani na notatki w *Pamiętniku*; narzekał, że stały się krótkie i suche jak komunikaty Sztabu Generalnego. „To, co piszę, odzwierciedla mnie samego – jestem w obecnych czasach zwięzły, lakoniczny i o silnie przytępionej wrażliwości” – uznał.

Wojna przypominała zabawę w ciuciubabkę, tyle, że ginęli w niej ludzie. Raz to Polacy atakowali pozycje wojsk Budionnego, biorąc jeńców, konie, karabiny maszynowe i wozy z amunicją, następnego dnia bolszewicy odzyskiwali przewagę w polu i polskie kompanie musiały wycofywać się na poprzednio zajmowane pozycje. Broniewski przeżywał *déjà vu*. Bił się przecież pod tymi samymi Kołkami i nad tym samym Styrem, co w 1915 roku. Nazwy miasteczek i wsi, które próbowali zdobyć albo mijali w marszu: Aleksandria, Równe, Klewań, Bogusławka, przypominały mu czasy sprzed pięciu lat, „kiedy to nie spało się, nie jadło, tylko było bolszewików i wszy”. W dodatku Budionny osiągał nad wycofującymi się w kierunku Styru Polakami coraz większą przewagę. „Na Styrze, sądzę, utrzymamy się, ale ofensywę możemy robić dopiero przy współudziale większej ilości kawalerii, która już się podobno robi” – pisał.

Wieści z kraju też przychodziły coraz gorsze. Bolszewicy przełamali front nie tylko na południu Ukrainy, ale i na północy, zdobywając Mińsk, a potem Wilno i Lidę. Optyризmem napawały tylko informacje o tworzącej się ochotniczej armii, do której zgłosiło się już ponad trzysta tysięcy ochotników. Na jej czele stanął Piłsudski, co Broniewskiego uspokajało. „We wszystkim czuć silną rękę” – pisał z satysfakcją.

Lato 1920 roku zeszło na kolejnych potyczkach z bolszewikami i nieudanych próbach upolowania Budionnego. Na przełomie lipca i sierpnia kompania Broniewskiego przeprowadzała się, idąc po szyję

w wodzie, przez bagno pod Rudką, „omal nie utonąłem w bagnie, wpadłszy w trzęsawisko”. W końcu przyszedł rozkaz wycofania się polskich oddziałów na linię Bugu.

Podczas walk o Drohiczyn Broniewski doczekał się wreszcie upragnionego *Virtuti Militari*. Trafił też do *Złotej księgi bohaterów*, publikowanej na łamach czasopisma „Wiarus”: „Podporucznik Broniewski-Orlik Władysław, dowódca 8. komp. 1 p.p. Leg. brał udział w akcji nocnej pod Drohiczyńnem. Po zdobyciu mostu na Bugu przeostał się łącznie z 7. komp. 1 p.p. Leg. na drugi brzeg rzeki, zaatakował wzgórze, zajęte przez nieprzyjaciela i silnie bronione. Atak z powodu silnego ognia przeciwnika poczyna chwiać się i wtedy ppor. Broniewski wybiega przed linię, podrywa kompanię, która brawurowym uderzeniem zdobywa wzgórze, zadając bolszewikom wielkie straty w walce na białą broń. Przez zajęcie wzgórz, a tym samym przez silne obsadzenie miasteczka, ppor. Broniewski zadecydował o zwycięskim zakończeniu akcji ogólnej, mającej na celu odcięcie nieprzyjacielowi odwrotu”.

Wiele lat po wojnie opowiadał Wojciechowi Żukrowskiemu, jak wyglądała tamta noc, kiedy zasłużył na order. Trafił z paroma ludźmi na jakąś plebanię, ksiądz zapalił świece i wyciągnął gąsiorek z wódką. Wydawało się, że wieczór upłynie na spokojnym biesiadowaniu i kolejnych toastach za zdrowie Piłsudskiego, gdy z sąsiedniego wzgórza zaczęli ich ostrzeliwać Kozacy. Broniewski złapał karabin i wybiegł, za nim jego ludzie. Ponieważ nie całkiem dobrze trzymał się na nogach, kazał się wieźć w kierunku Rosjan taczka – relacjonował jego opowieść Żukrowski. Ale raczej nie to ich odstraszyło. Żołnierze zaczęli wołać: „Broniewski, Broniewski”, co zdaniem poety musiało w uszach krasnonoarmiejców brzmieć jak „broniewik”, czyli auto pancerne, broń straszna. Przerażeni uciekli.

Nawet biorąc poprawkę na trzydzieści kilka lat, które dzieliły tamtą wojenną noc i opowieść o niej, podszytą jeszcze dystansem do własnych zasług, było w niej pewnie sporo prawdy. Tamta wojna, choć śmierć na niej była równie prawdziwa jak dwadzieścia lat później, bardziej przypominała starcia z XIX niż XX wieku.